

Poniedziałek, 13 grudnia 2010

Obrazki z życia Polaków w stanie wojennym

13 grudnia, niedziela. Włączam telewizor. Jakież paski, szумы. Pewnie się popsuł? I nagle pojawia się na wizji gen. Wojciech Jaruzelski, czyta drętym głosem, niczym maszyna, komunikat o stanie wojennym. Chwytam za słuchawkę telefonu, by zadzwonić do rodziców, brata. Nic, cisza...

Słucham uważnie powtórki komunikatu, w radiu nadają to samo. Dowiaduję się, że telefony nie będą działały, komunikacja wstrzymana, czołgi będą strzec bezpieczeństwa! Jak to, polskie wojsko ma strzec Polski przed Polakami?

Wprowadzono godzinę milicyjną. Ubrałam się ciepło i ruszam przed siebie, spotykam przerażone sąsiadki, drepczemy w śniegu na główną ulicę. Kompletne pustki i nagle kolumna czołgów.

Jedyna myśl wtedy, że oto widzimy prawdziwą twarz "polskich bolszewików", że to zdrajcy Narodu, sowieccy kolaboranci, zgotowali nam ten los.

Idę do przyjaciół, godzina piechotą. Nie ma ich, w mieszkaniu zapłakana teściowa. - Przyszli z SB w nocy, wsadzili ich oboje do nyski, wywieźli, nie wiem nawet dokąd. Krzyczeli, że internowanie, że reakcjonistów trzeba izolować!

Internowana "Solidarność"

Zaczyna się wielkie poszukiwanie, zdobywanie wiadomości o przyjaciółach. Chodzimy, zostawiamy kartki w drzwiach, jeszcze odruchowo ufni, że nikt tych kartek nie zniszczy. Dociera do mnie pod wieczór kolega z Klubu Wysokogórskiego. Razem pomagaliśmy kiedyś strajkującym, rozprawialiśmy ulotki czy książki drukowane poza cenzurą. Pytamy siebie nawzajem: co dalej, co ONI nam jeszcze zgotują? Słuchamy Radia Wolna Europa, Głosu Ameryki, BBC. Stamtąd dowiadujemy się, że zostali aresztowani i internowani członkowie Komisji Krajowej "Solidarność", wprost z hotelu w Gdańsku. Wśród internowanych jest Lech Wałęsa. Wtedy ufaliśmy mu, był uosobieniem wszelkich nadziei na wolną Polskę. Internowana "Solidarność". Dlaczego my jeszcze pozostajemy na wolności? Na wszelki wypadek przygotowuję plecak, gdyby jednak i po mnie przyszli, pakuję lekarstwa, środki higieniczne.

Spod Warszawy docierają po długim czasie w stojącym godzinami na torach, zamarzającym pociągu moi rodzice, emeryci. W obydwójgu odżył straszliwy lęk, że wybuchła wojna. Ojciec bliski zawału, drżący, nie ma lekarstw, a my nie możemy dodzwonić się nawet do pogotowia. Jakoś uspokajamy go domowymi sposobami zamiast lekarstw. Mama w nocy płacze, zaglądam do niej, mówi: - To bolszewia, ich na wszystko stać! Żeby tylko znowu nie wywozili na Sybir... Mieliśmy szansę zmusić ich do odejścia ze stołków, może i wsadzić złodziei do więzień, a teraz to oni nas wyniszczą.

Przygotowałam dla moich rodziców małe zawiniątka z lekarstwami, z ciepłymi ubraniami, by były w pogotowiu, gdyby mieli nas dokądś wyganiać. Tak objawiał się ich lęk, we własnym kraju... Byli nieco spokojniejsi, bo przygotowani, nie tak jak ponad 42 lata wcześniej, gdy wybuch II wojny światowej zastał ich bez zapasów, bez lekarstw.

Ojciec cudem przeżył obóz koncentracyjny, najbardziej w życiu bał się głodu i przemocy. Przez cały stan wojenny słyszałam, jak co noc wstaje, drepcze do kuchni i otwiera szafki, sprawdza, czy jest chleb, czy wystarczy zapasu mąki... Nie zarabiałam wtedy ani grosza, byłam bez pracy, przecież miałam podjąć pracę w Regionie Mazowsze, czekaliśmy na

podarowane nam w "S" kamery filmowe z Japonii. Dziwnie jeszcze we wrześniu "utknęły" na granicy, na cle. Uczelnia - zajęcia zawieszono. Jako niepracującej nie należały mi się kartki na żywność, a także, w myśl rygorów stanu wojennego, można było aresztować mnie w każdej chwili, bez przyczyny, jako "element niepewny".

Pies, szczeniak tybetański, choruje. Pakuję go do torby, przewieszam przez pierś i idę przez miasto do weterynarza półtorej godziny w jedną stronę. Mijam czołgi, koksowniki, gdzie przy żarzącym się węglu grzeją się żołnierze. Patrzę na nich jak na wrogów.

Wykonują rozkazy generałów, tych, którzy działają w ramach Układu Warszawskiego, a więc na obce sowieckie polecenia.

Poczta jakoś działała, skoro nagle przychodzi list. To bank Pekao zawiadamia, że "otrzymała obywatelka przekaz na 50 \$ USA, można podjąć wyłącznie w formie bonów towarowych do sklepu Pewex". To oczywiście zagrabienie przesłanych mi przez przyjaciela pieniędzy, ale dobre i to, mogę za bony kupić jedzenie: polskie produkty, herbatę, szynkę, czekoladę i pomarańcze dla rodziców na Boże Narodzenie.

Łańcuch pomocy

Po tygodniu spotykam kolegę, opowiada, że internowani są niemal już wszyscy z naszej grupy, z Klubu Wysokogórskiego. Organizujemy się w ruch pomocy dla rodzin osób internowanych, sprzedajemy plakaty, książki, a za zebrane pieniądze kupujemy żywność, na bazarach, na lewo, gdzie się da, by żony i dzieci internowanych czy ich starzy rodzice mieli co jeść. Taki ruch pomocowy tworzyło wielu ludzi we własnych środowiskach, miejscowościach.

Gdzieś na trasie spotykam Zbyszka, kolegę alpinistę. Rozdygotany opowiada, jak w nocy 14 grudnia jego 8-letni syn nagle dostał gorączki i silnych bólów brzucha. Zapalenie wyrostka, konieczna natychmiastowa operacja, a przecież telefony nie działają! Wziął syna na plecy i szedł z Ursynowa w kierunku centrum Warszawy. Podchodził do czołgów, "suk" milicyjnych, błagał o podwiezienie go z dzieckiem do szpitala. Odmawiali. Usłyszał też: "Ty wywrotowcu, niech ginie ten twój bachor, mniej was tu będzie!". Kolega nadludzkim wysiłkiem, w tę bardzo mroźną noc, doniósł chorego synka do szpitala, sam odchorował potem ten wyczyn. Godziny dzieliły dziecko od śmierci.

Gdy w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. wywlekano ludzi z łóżek, by ich internować, były przypadki plądrowania mieszkań, okradania ich. Zabrawszy rodziców, zostawiano dzieci same, w otwartym mieszkaniu, głodne i przerażone. Aż sąsiedzi się ulitowali i pokonując strach, odszukiwali dziadków, by opiekowali się maluchami przez nie wiadomo jak długo. Najgorsza była ta niewiedza - dokąd wywieziono ludzi, naszych przyjaciół, sąsiadów, bliskich, gdzie są, dlaczego, na jak długo? Snuły się przerażające skojarzenia z opisami z wywózek na Syberię czy z więzieniami UB. Jak szukać bliskich, jak im pomóc? I ten wszechogarniający wstręt: to zrobili "nasi", swoi - swoim... Jak z tym dalej żyć?

Na warszawskim Żoliborzu, w parafii św. Stanisława Kostki, ks. Teofil Bogucki, proboszcz, wraz z ks. Jerzym Popiełuszką tworzą punkt przyjmowania darów. Docierają pierwsze transporty z żywnością, funkcjonuje punkt pomocy medycznej, można dostać leki. Wielu ludzi korzysta. Gdy jestem już o krok, by pójść tam, do kolejki dla najbiedniejszych, przychodzą jedna za drugą paczki na mój adres, od przyjaciół alpinistów z Niemiec, Szwajcarii, Belgii. Najpotrzebniejsze artykuły i... luksus, mydło, szampon, środki higieniczne, podstawowe lekarstwa. Nie pracuję, ale mogę wspierać starszych rodziców. Dręczy nas niepewność jutra. Informacje zdobywamy bezpośrednio od przyjaciół. Jakże teraz trudno komukolwiek ufać... Gazet nie czytamy, w kioskach tylko "Trybuna Ludu" i "Żołnierz Wolności". Gadzinówki. Szukamy ulotek, rarytasem są książki drukowane w podziemiu: "Zniewolony umysł" Czesława Miłosza, Paweł Jasienica, George Orwell, Wiktor Suworow. To były bestsellery.

Studenci w mundurach

Po Nowym Roku 1981/1982 rozpoczynają się znowu zajęcia na Uniwersytecie Warszawskim. Podchodzi do mnie dziekan, dyskretnie pyta, czy mam pracę, przestrzega: - Nie podejmuj pracy niezgodnej z kierunkiem studiów, załatw jakieś zaświadczenie, że czekasz na wywołanie filmów czy coś w tym guście, bo inaczej będę musiał cię skreślić ze studiów. Studiuję na wydziale dla pracujących, kilkoro z nas musiało podjąć pracę, gazety zlikwidowane, ktoś poszedł do pracy na pocztę, ktoś do szpitala, bo ich dzieci nie miałyby co jeść. Musieli zostać skreśleni z wydziału dla dziennikarzy. Nigdy już nie powrócili na te studia.

Na pierwszych wykładach nagle zdaję sobie sprawę, że moi dwaj koledzy siedzą w mundurach, z bronią w kaburach! Jeden z tych "dziennikarzy" okazał się uzbrojonym, zmilitaryzowanym esbekiem, drugi - zomowcem. (Do dziś pracują w mediach, ich kariery przebiegały bez żadnych problemów).

Wieczory w domu. Obowiązuje godzina milicyjna, od 19.00. Telefony już czynne, ale w nich automatyczny głos: "rozmowa kontrolowana, rozmowa kontrolowana". Telewizja chwali tylko WRON i PRON, jedyny nasz przywódca to gen. Jaruzelski, a najmądrzejszy obrońca polskości to gen. Czesław Kiszczak. Sianie strachu, zwątpienia, utrata nadziei, niepewność jutra... Jak oglądać taką telewizję, tubę straszliwej demagogicznej propagandy i kłamstwa?

"Nigdy nie zrobisz kariery"

W grudniu 1981 r., tuż po pacyfikacji kopalni "Wujek", znalazł mnie redaktor z telewizji, szef bardzo znanego programu podróżniczego. Zaproponował mi... własne autorskie dwugodzinne programy w Boże Narodzenie, w czasie obiadowym, podczas najlepszej oglądalności. I że załatwi natychmiast, bym zmontowała choć jeden lub dwa swoje nowe filmy. Miałam być gwiazdą programu. Nie mówiłabym o polityce, jedynie o Indiach, górach, a gościem mojego programu miał być ambasador PRL z pewnego egzotycznego kraju. Miałabym zapewnioną sławę i karierę. Pomyślałam o internowanych i więzionych kolegach... Jak to, miałabym ich zdradzić? Nie tak mnie wychowywali w Tatrach, nie takiej uczyli odwagi w górach.

I wreszcie to pytanie: jak mogłabym się publicznie pokazać w towarzystwie dwóch znanych powszechnie kolaborantów? Odmówiłam. Usłyszałam pogrózkę: - Dopilnujemy, żebyś do telewizji nigdy nie weszła, żebyś nigdy nie zrobiła kariery.

Myślałam, kim są "MY"? To przecież też Polacy. Są więc dwa różne światy: zdrajcy i ich ofiary. Czy to kiedykolwiek zmienimy?

Czekałam, aż przyjdą po mnie. Cały rok. Zdobyłam pracę w czasopiśmie fotograficznym, zleconą oczywiście, ale wreszcie miałam swoje kartki na żywność. Co prawda by wyjechać w góry, musiałam zdobywać w Radzie Narodowej przepustkę, na podstawie zaświadczenia od lekarza, że "konieczna zmiana klimatu". Mogłam korzystać z gościny u zaprzyjaźnionych górali, napić się mleka, zjeść dobrego mięsa czy wędlin, przywieźć zaopatrzenie rodzicom. Jednak czułam, że jestem stale obserwowana. W Warszawie, gdy wychodziłam z psem na spacer, widać było gołym okiem, że szwenda się za mną zwykle młody mężczyzna, ubrany na czarno, wszyscy oni mieli takie same spodnie, kurtki, buty. Aż przyszli do domu, rano, czterech uzbrojonych, wulgarnie wrzeszczących, straszących pobicie na oczach chorego ojca. Wiedzieli, że tego by nie przeżył. Dałam się wyprowadzić z domu. Tę datę zapamiętam na całe życie, 27 listopada 1982 roku. Szłam prowadzona pod bronią, sąsiadki płakały, mama w oknie. Wozili mnie w nieznane miejsca, a to pod las, a to pod zakład pogrzebowy. Przestałam się bać. Byle memu ojcu nic złego nie zrobili, byle nie musiał być świadkiem przemocy wobec córki. Wreszcie zawieźli na komendę milicji, do pałacu Mostowskich.

Przesłuchanie. Jakieś dziwnie spokojne. Nagle pada propozycja: - Jeśli będziesz dla nas filmować twarze w tłumie, na demonstracjach, swoich kolegów, to dajemy ci paszport do domu, mieszkanie, pracę w telewizji. Tam wymyślisz sobie redakcję, jaką chcesz, my ci ją zorganizujemy.

Odmówiłam. Może nie byłam wcale taka odważna, ja po prostu nie uwierzyłam w te mrzonki. Wtedy naczelnik MO wysyczał: - My cię dopilnujemy, nigdy nie zrobisz kariery w zawodzie dziennikarza! Nigdy niczego nie będziesz miała, nie dorobisz się niczego, jak twoi starzy. Znikniesz!

Nie na sprzedaż

Nie zniknęłam. Miałam dar, księdza Jerzego Popiełuszkę w swojej parafii na Żoliborzu. Powtarzał nam co niedzielę, że duszy nie wolno sprzedawać, Ojczyzny i ideałów nie wolno sprzedawać za miskę soczewicy. Tam w odwodzie była ta realna pomoc, oparcie w kościele, w parafii, w księdzu Jerzym. W naszej wojennej wspólnocie Polaków. Wtedy tak mocno można było kochać Polskę.

Gdy przyjęto mnie do pracy do nowo tworzonej redakcji filmowej w telewizji, wydawało się pod koniec lat 80., że wolność odzyskamy, że "ONI" odpuścili. Mój pierwszy szef pod koniec stanu wojennego nie był partyjny, był młody i nowoczesny. Mogłam znowu pojechać z kamerą w Himalaje. Wracala nadzieja. Dopiero w 1992 roku miałam nieoczekiwany dostęp do pewnych dokumentów, tam okazało się, że ta "moja" redakcja to właśnie ta, którą mogłam mieć, gdybym w stanie wojennym podjęła pracę dla SB! Reaktywowała się "S" w TVP, przyszły błyskawiczne przemiany - wejście do NATO, do UE, paszporty w domu, zniesienie cenzury, wolność słowa, katolickie media, prywatna własność. Nasza Polska. Mogłam spełniać swoje najzarliwsze, wyczekiwane marzenia filmowe - mogłam filmować Polskę, jej drogę do wolności. To bardzo długa droga, niczym w górach, kręta, czasem skrajnie trudna, niewygodna. Ciągle to nasza droga.

Anna T. Pietraszek

www.naszdziennik.pl